

ROZDZIAŁ VI

27.08.1997 r. – godz. 13:30

Dochodziło południe, gdy zadzwonił do mnie „Docent” z informacją, że zarówno Robert, jak i Anna zginęli od strzałów z broni palnej. Przyznam, że zaskoczenie było na tyle widoczne, iż stojący obok „Dziadek” natychmiast podszedł bliżej i bezceremonialnie przyłożył ucho do słuchawki.

– Nie masz żadnych wątpliwości? To pewne? – zapytałem, bo w pierwszej chwili trudno było mi w to uwierzyć.

– Pewne. Na sto procent – odpowiedział bez wahania. – Broń krótka, moim zdaniem dziewiątka. Chłopak dostał dwa razy w głowę, dziewczyna raz, prawie centralnie. W czoło. Musicie zacząć szukać pocisków i łusek, bo gdzieś tam na pewno są...

– „Docent”, nie ucz ojca dzieci robić – przerwałem mu odruchowo i w tej samej chwili dotarło do mnie, że wykrywacza metalu z komendy jednak nie zabraliśmy.

– Powiedz mu, żeby po sekcji od razu do nas przyjechał – wtrącił półgłosem „Dziadek”. – Musimy znać szczegóły.

– Masz telefon, pogadaj z nim sam – odparłem i podałem mu słuchawkę, którą przejął z zaskakującą energią.

Zrobiłem to celowo. „Dziadek” był dociekliwy do granic uciążliwości i wolałem, żeby sam przepytał „Docenta”, niż później miałby mnie zamęczać pytaniami. Ja sam, choć oczywiście ciekawy ustaleń z sekcji, wolałem opierać się na tym, co „Babcia Ania” zapisze w protokole. Informacje przekazywane przez „Docenta” miały jednak tę niezaprzeczalną wartość, że pozwalały natychmiast przyjąć konkretny kierunek działań.

Pod naciskiem „Dziadka” „Docent” obiecał, że przyjedzie do nas do Kudowy i szczegółowo wszystko wyjaśni, zastrzegł jednak, że nie dotrze wcześniej niż za około dwie godziny.

Przyznam, że informacja o użyciu broni palnej mocno nami wstrząsnęła. Czegokolwiek byśmy się spodziewali, takiego obrotu sprawy po prostu nie braliśmy pod uwagę. Po zakończeniu rozmowy „Dziadek” przekazał mi to, czego się dowiedział.

Wynikało z nich, że w przypadku Roberta Odźgi dr Szczęsna ujawniła ranę postrzałową głowy, której kanał przebiegał od sklepienia oczodołu lewego do lewej strony podstawy czaszki. Ponadto stwierdzono liczne złamania sklepienia oczodołu prawego, będące skutkiem drugiego postrzału. Kanał tej rany przebiegał od sklepienia oczodołu prawego, nad żuchwą, a następnie po tkankach miękkich pod kośćmi podstawy czaszki, bez uszkodzenia kręgów szyjnych. „Docent” wyraźnie zaznaczył, że wraz z „Babcią” nie są w stanie jednoznacznie określić kolejności strzałów i że konieczna będzie analiza baliistyczna.

Dodał również, że w koszulce Roberta, na plecach, ujawniono kilka rozdarć tkaniny. Z uwagi jednak na brak uszkodzeń żeber w tych miejscach mało prawdopodobne było, by powstały one w wyniku zadania ciosów narzędziem powodującym rany kłute.

W przypadku Anny Kembrowskiej charakter uszkodzeń w obrębie wlotu i wylotu postrzału pozwalał przyjąć, że wlot znajdował się w obrębie lewego oczodołu, a wylot w kości potylicznej po tej samej stronie. Jednoznacznie wskazywało to, że strzał został oddany do dziewczyny leżącej na plecach.

Opis kanałów postrzałowych u Roberta faktycznie nie pozwalał jednoznacznie określić ani kolejności strzałów, ani pozycji, z jakiej zostały oddane. Nie ulegało jednak wątpliwości, że gdyby oba strzały padły do osoby leżącej na plecach – a w takiej pozycji zwłoki zostały znalezione – pociski powinny znajdować się bezpośrednio pod głową ofiary. Znacznie gorzej przedstawiała się sytuacja w przypadku, gdyby oba strzały oddano w momencie, gdy Robert stał.

Biorąc jednak pod uwagę skąpe informacje przekazane przez „Docenta”, uznaliśmy, że najbardziej prawdopodobny jest wariant, w którym drugi strzał padł w chwili, gdy ciało chłopaka osuwało się już na ziemię. Co do tego obaj byliśmy zgodni. W przypadku dziewczyny nie mieliśmy żadnych wątpliwości – strzał oddano, gdy leżała na plecach.

– No to mamy co najmniej dwa pociski – stwierdził „Dziadek”. – I to raczej na bank.

Mnie natomiast ponownie uderzyła myśl, że nie mamy wykrywacza metali.

– Cholera jasna – wyrwało mi się. – Musimy zorganizować ten pieprzony wykrywacz i to natychmiast. Wkurza mnie, że pamiętałem o SWD, a o tym nie. Ale kto, do jasnej cholery, mógł przypuszczać, że komuś strzeli do głowy pakować kule w turystów?

Byłem autentycznie wściekły – i na sytuację, i na siebie.

– Spokojnie – próbował mnie uspokoić „Dziadek”. – Nikt o tym nie pomyślał. Zresztą dobrze wiesz, że tym, co mamy, to nawet czołgu pół metra pod ziemią byśmy nie znaleźli.

– No właśnie... Ale i tak, do studentów na szlaku nikt nie strzela. W ogóle do turystów się nie strzela. Po co? – dodałem bardziej do siebie niż do niego.

– Dobrą, koniec żałoby. Ściągaj któregoś z chłopaków, niech jedzie do Piechoty Górskiej. Oni mają wykrywacze dużo lepsze niż nasze.

– Ty ich wywołuj, a ja zadzwonię do Heńka – odparłem, uświadamiając sobie, że o tak istotnej informacji nie poinformowałem jeszcze nikogo w komendzie.

Nie zdążyłem jednak wybrać numeru. Telefon zadzwonił pierwszy. Dzwonił Tusiński – wyraźnie poirytowany. Miał pretensje, że dowiedział się o użyciu broni palnej później niż komendant Mucha, a powinno być dokładnie odwrot-

nie. Szybko ustaliliśmy, że winę ponosi „Docent”, który – zanim zadzwonił do nas – zameldował wyniki sekcji komendantowi. Nie miałem na to żadnego wpływu. „Docent” już taki był i żadne uwagi nie były w stanie zmienić jego zwyczajów.

Uzgodniliśmy z Heńkiem, że wszystkie istotne informacje wynikające z nowej sytuacji dokładnie opiszę i jak najszybciej prześlę faksem. Obiecałem, że zrobię to jeszcze tego samego dnia.

W czasie mojej rozmowy z Tusińskim „Dziadek” zaczął wywoływać przez radio poszczególne zespoły. Po chwili odezwał się Mietek Skoczeń z kryminalnego w Nowej Rudzie, działający razem ze Szczepanem Krajewskim i Ryszardem Myszogładem. „Dziadek” polecił im natychmiast stawić się w bazie, nie zdradzając jeszcze szczegółów.

Znałem ich bardzo dobrze. Wielokrotnie prowadziliśmy wspólnie sprawy z tej „wyższej półki” – zabójstwa, rozboje – i zawsze można było na nich liczyć.

Czekając na ich przyjazd, próbowaliśmy skontaktować się przez radiostację z policjantami prowadzącymi oględziny na Narożniku. Okazało się jednak, że sprzęt nie radzi sobie w górskim terenie. Zszedłem więc do dyżurnego i spróbowałem połączyć się stamtąd. Po chwili ktoś się odezwał. Słyszalność była fatalna, ale zrozumiałem, że oględziny nadal trwają i że planują zakończyć je najpóźniej około godziny szesnastej.

Kiedy wróciłem do bazy, do pokoju właśnie weszli Mietek, Szczepan i Rysiek. W skrócie przedstawiłem im ustalenia z sekcji oraz nasze wstępne wersje dotyczące okoliczności oddania strzałów. Następnie poleciłem im udać się do Kłodzka i spróbować wypożyczyć wykrywacz metali w Sudeckiej Brygadzie Straży Granicznej albo w Piechocie Górskiej.

„Dziadek” zaczął im tłumaczyć – jakby sami tego nie wiedzieli – że policyjny sprzęt jest marny i nie daje większych szans na sukces. Z opresji wybawił nas Szczepan Krajewski, który poinformował, że w Nowej Rudzie zna miejscowego pasjonata i poszukiwacza militariów, jakimi ten teren jest wręcz naspikowany. Według jego wiedzy człowiek ten dysponował bardzo dobrym sprzętem, sprowadzonym z Anglii, i być może zgodzi się go wypożyczyć.

Decyzję podjąłem natychmiast.

– Szczepan, bierzecie samochód i jak najszybciej macie mi tu przywieźć tego gościa razem ze sprzętem. Jeśli trzeba, obiecacie mu wynagrodzenie – ja to załatwię z Tusińskim od ręki. Musicie to tak rozegrać, żebyśmy zaczęli penetrację terenu zaraz po zakończeniu oględzin. Dochodzeniówka powinna skończyć przed szesnastą.

– Nie wiem, czy uda mi się go złapać – zawahał się Szczepan. – Telefon mam zapisany w kalendarzu w komendzie.

– Róbcie, co się da. Jeśli nie dziś, to jutro z samego rana. A teraz w drogę. Ja w tym czasie przygotowuję informację do Biura.

– „Dziadek”, pojedziesz z nimi? – zapytałem odruchowo, choć w gruncie rzeczy znałem odpowiedź.

Myliłem się. Jego mina od razu dała mi do zrozumienia, że pytanie było nietrafione.

– Panowie, zrozumcie mnie – powiedział z wyraźnym zakłopotaniem. – Ja na tę górę nie wejdę. Biodro. Mam uraz i kurewsko boli, zwłaszcza przy wchodzeniu albo schodzeniu.

– Spokojnie, damy radę – uspokajali go Mietek i Szczepan, doskonale rozumiejąc, ile musiało go kosztować przyznanie się do tej słabości.

Gdy wyszli, jeszcze przez kilka minut tłumaczył mi się, że naprawdę nie byłby w stanie pokonać stromizny Narożnika. Dopiero wtedy w pełni dotarło do mnie, jak bardzo te dolegliwości musiały go psychicznie uwierać. Było mi zwyczajnie głupio, że rzuciłem tę propozycję bez zastanowienia, wiedząc przecież, że od jakiegoś czasu nawet wsiadanie do samochodu sprawiało mu trudność.

Nie minęła nawet godzina od ich wyjazdu, gdy Mietek zameldował przez radio, że są już na dolnym parkingu przy szlaku na Narożnik. Razem z nimi był właściciel wykrywacza, który zgodził się nieodpłatnie użyczyć sprzęt pod warunkiem, że sam będzie prowadził poszukiwania. Dołączyli również dochodzeniowiec i technik kryminalistyki z Nowej Rudy, przydzieleni przez Franka. Był to czytelny sygnał, że to Nowa Ruda – a nie Kłodzko – chce być dla nas rzeczywistym partnerem w tej sprawie.

Nam pozostało zająć się bieżącymi czynnościami i czekać z nadzieją, że łuski i pociski zostaną odnalezione, a nasze szanse na ustalenie sprawcy znacząco wzrosną.

Jak bardzo się myliliśmy, miało się okazać już wkrótce.